

ANGLICY NA POKŁADZIE

~ Matthew Kneale ~

Premiera: 30 września 2014

Wydawnictwo Wiatr od Morza

{ fragment I }

Kapitan Illiam Quillian Kewley, czerwiec 1857 roku

Powiedzmy, że człowiek zarabia kulę w łeb w cudzej wojnie – gdzie bierze to swój początek? Moglibyście uznać, że sprawa jest prosta. Ta chwilka rozpoczyna się w dniu, gdy nasz bohater wyrusza w bój ze swoimi nowymi towarzyszami broni, a napuszeni żołnierze uśmiechają się dumnie i machają do dziewczyn. Czy aby na pewno? Dlaczego nie wtedy, gdy przyjmuje szylinga¹ od sierżanta, wysłuchując jego pochlebstw z ustami rozdziawionymi jak u żaby po żniwach? A co z tym słonecznym porankiem, gdy dopiero co skończywszy sześć lat, widzi żołnierzy kroczących zawzięcie wiejską drogą przy wtórze podzwaniającego ryszunka? Lecz jeśli tak, to czemu nie cofnąć się do samego początku, do tej długiej, spokojnej nocy, gdy na świat przychodzi niemowlę, otwierając szeroko zdumione oczka i wymachując maleńkimi

¹ W XVIII i XIX wieku w Armii Brytyjskiej funkcjonował zwyczaj wręczania rekrutom szylinga, stanowiącego ich pierwszy żołd (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji przekładu polskiego).

piąstkami? Nigdy byście nie pomyśleli, że pewnego dnia te rączki staną się dość silne, by podnieść długą, ciężką strzelbę i wpakować pocisk w czaszkę naszego nieszczęsnego martwego przyjaciela.

Gdybym miał określić początek wszystkich tych drobnych osobliwości, które na mnie spadały, no cóż, zapewne wybrałbym tamten poranek, kiedy płynęliśmy północnym kursem, wracając z pewnego zaciszego francuskiego portu, gdzie tytoń i brandy osiągały ceny najniższe z możliwych. Wtedy nie wyglądało to oczywiście na początek czegokolwiek; żywiłem raczej nadzieję, iż jest to niemal koniec. Wiatr był stały, statek szedł aż miło i śmiałem twierdzić, że każdy przyjemnie pędził czas, oddając się swoim obowiązkom oraz marzeniom o pieniądzach, których jeszcze nie dostał, jak również o uciechach, których mu przysporzą. Ci, którzy mieli wydać swoją dolę, nim człowiek zdąży odlać się za burtę, już widzieli siebie w oparach dymu i alkoholu, do tego być może w towarzystwie rozkapryszonego kobiecego ciała na wynajem. Kilku mogło śnić o wydaniu każdego pensa na nową kurtkę czy buty, aby móc przez dzień lub dwa ołsniewać Peel City fasonem. Pozostali zapewne zachowali ostrożność, poprzestając na marzeniach o spleaconych czynszach i uciszonych żonach.

A Illiam Quillian Kewley?

Podczas gdy Sincerity podskakiwała i kołysała się na falach, wyobrażałem sobie Castle Street w sobotni poranek, gdy w tumultcie wszyscy bacznie przypatrują się sobie nawzajem, a Ealisad idzie u mego boku w pięknej nowej sukni, oboje zadzieramy głowy wysoko niczym jakieś lordostwo i nikt już nie mówi: „Patrzcie no, idą Kewleyowie, co to kiedyś byli kims”. Śniłem też o moim pradziadzie, Juanie, którego nigdy nie poznałem, a którego zwano „Big Kewley” ze względu na to, iż jako jedyny w rodzinie zarabiał pieniądze, zamiast je tracić. Oto miałem go właśnie przed oczami, jak na dłoni widziałem pradziadka wychylającego się z nieba z lunetą w garści i wołającego głosem donośnym jak grom: „Łypnijcie no sobie na Illiama Quilliana, mojego rodzzonego prawnuka! Nareszcie mężczyzna, który coś potrafi!”.

A potem nasze rojenia zostały gwałtownie przerwane. Tom Teare, pełniący wachtę na bocianim gnieździe, zawołał z góry:

– Żagiel! Żagiel na północnym zachodzie!

Wtedy nikt nie poświęcił jego okrzykowi szczególnej uwagi. Kanał Angielski nie należy bynajmniej do opustoszałych akwenów, nie widzieliśmy więc nic niepokojącego w odkryciu, iż naszym kursem idzie drugi statek. Chłopcy wciąż szorowali pokład, ja zaś nadal stałem na tylnym pokładzie wraz z pierwszym oficerem Brewem, upewniając się, że nie przerywają.

Powinniście jednak dowiedzieć się nieco o Sincerity, jeśli bowiem przydarzył się kiedykolwiek na tym świecie cud wykonany z drewna, to była nim właśnie ona. Zaiste, nie potrafilibyście wyobrazić sobie jednostki, która z zewnątrz wyglądałaby bardziej normalnie. Przyznam, że miała już swoje lata – jej zaokrąglony, tępy dziób dawno wyszedł z mody, a tylny pokład był zbyt wysoki jak na współczesne gusta – poza tym jednak była zwyczajna jak woda w morzu. Założę się, że moglibyście spędzić na pokładzie cały dzień i nadal niczego byście się nie domyślili. Chyba że mielibyście akurat niebywałego nosa do wymiarów. Albo że zdarzyłoby się wam zajrzeć za wewnętrzną górną krawędź odrzwi w spiżarni.

A to niezbyt prawdopodobne.

Otóż za czasów mojego pradiada, Big Kewleya, takie wybiegi nie były konieczne. Wyspa Man wciąż była wolna i niepodległa – dopiero później mieli wykupić ją wszędobylscy angielscy politycy – kierowała się więc wyłącznie własnym uznaniem, ustalając swoje wolne i niepodległe cła na brandy, tytoń i tym podobne, co oznaczało, iż owe opłaty właściwie nie istniały. Była to zaiste złota epoka Wyspy Man. Statki spływały do jej portów ze wszystkich zakątków świata, z Europy i Afryki, z Indii Zachodnich i Wschodnich². Na jej nabrzeżach piętrzyło się tyle beczek i antalków, że człowiek ledwo mógł przedostać się do własnego statku. Co więcej – każda taniutka, beczłowa kropla alkoholu czy odrobina tytoniu były równie legalna co król Jerzy we własnej osobie.

Naturalnie, Mańczykom takim jak mój pradziad krajały się miękkie serca, gdy tylko pomyśleli, że zagarniają dla siebie taki dosta-

² Nazwy „Indie Zachodnie” używano dawniej w odniesieniu do wysp basenu Morza Karaibskiego, a „Indie Wschodnie” do Azji Południowo-Wschodniej.

tek, podczas gdy wokół zrozwyczajeni Anglicy, Irlandczycy, Szkoci i Walijczycy jęczą i zawodzą, kupując swoje opodatkowane trunki po skandalicznie wysokich cenach. Zdawało się, iż czysta życzliwość wymaga, aby w bezksiężycową noc załadować skif, przemknąć przez morze do jakiegoś ustronnego zakątka Irlandii czy Szkocji – albo równie dobrze Anglii czy Walii, biorąc pod uwagę, że Wyspa Man leży dokładnie pomiędzy nimi czterema – i dopomóc biedakom. Nie baczcie na wszystkie te modne pogaduszki o wolnym handlu, jest to bowiem wyłącznie angielskie naśladownictwo. Mój pradziad uprawiał wolny handel, jeszcze zanim go wymyślono.

Zbaczam jednak z tematu początku, który nas wtedy spotkał. Kolejny okrzyk Toma Teare'a rozległ się jakąś chwilę czy dwie po poprzednim:

– Ten statek na północnym zachodzie wygląda na kuter!

Sądzę, iż w tym momencie wszyscy zwróciliśmy większą uwagę na jego słowa. Sytuacja nie należała jeszcze do jasnych ani pewnych, lecz była to zdecydowanie gorsza wiadomość niż wzmianka o pierwszym lepszym żaglu. Widzicie, jest co prawda wiele statków, które b y w a j ą kutrami, istnieje jednak pewien szczególnie rodzaj, który kutrem jest z a w s z e, a właśnie tego rodzaju statku woleliśmy nie spotykać. Nikt nie odezwał się ani słowem – chłopcy wciąż szorowali i chlustali, a my z Brewem nadal ich doglądaliśmy – wszyscy natomiast przeczuwali kłopoty.

Przyznaję, nasz mały wypad na Sincerity można uznać za kuszenie losu, zdawało się jednak, że warto podjąć ryzyko. Smutna prawda jest taka, że nie było nigdy rodziny tak uzdolnionej do przepuszczania wszystkiego przez palce jak Kewleyowie. Big Kewley odszedł, pozostawiając spadkobiercom gospodarstwa, pół tuzina domów w mieście, zajazd oraz dosyć łodzi, by zabrać połowę Peel City na rejs po zatoce. Zanim majątek przeszedł w moje ręce, pozostał z niego tylko dom, w którym mieszkaliśmy – na szczęście z dachem – a do tego walące się gospodarstwo, sklepik w szemranym zaułku oraz nieduży, paskudny zajazd, z którego nigdy nie było pieniędzy. A na dodatek wszystko to nie przepadło wcale przez hazard czy kosztowne kobiety, co przydałoby nam chociaż aury bohaterów. Otóż

nie, Kewleyowie byli ludźmi roztrępnymi i trzeźwo myślącymi, acz obdarzonymi jak najgorszą intuicją w kwestii egzekwowania testamentów oraz wybornym okiem do psiaczych nabytków. Cóż, nie mogę powiedzieć, że bym sam radził sobie lepiej niż pozostali. Pływając wszawymi, skarłałymi stateczkami w tę i z powrotem po Morzu Irlandzkim z bydłęcymi kośćmi i tym podobnym ładunkiem, nie udało mi się choćby zahamować przykrej rodzinnej tendencji, nawet przy mojej kapitańskiej płacy. Zdawałem sobie sprawę, iż jeśli szybko nie podejmę działania, to ani się obejrzę, a przypadnie wszystko, Kewleyowie zaś zaczną żebrać na Big Street jak pierwsza lepsza hołota.

Aż pewnego dnia usłyszałem, że do portu w Ramsey zawinął niewypłacalny statek handlowy. Właściciel zalegał z opłatami portowymi, jednostka miała więc zostać wystawiona na aukcję, a wieśćniosła, że pójdzie za psi pieniądz. To dało mi do myślenia. W rzeczy samej dotąd Kewleyowie wzbogacali się tylko w jeden sposób, może więc powinienem spróbować po niego sięgnąć? Co prawda paranie się tym dawnym fachem wyszło już z powszechnego zwyczaju, nie oznaczało to jednak wcale, że i teraz nie przyniesie zysków. Powinienem przynajmniej zerknąć. Pojechałem więc do Ramsey, by łypnąć sobie na statek uwięziony w porcie. Była to stara, sponiewierana jednostka, z wysokim tylnym pokładem, jakiego się już prawie nie widywało, a do tego z armatą zabawką na dziobie, chyba do straszenia mew, nie przywiązywałem jednak do tego szczególnej wagi. Od samego patrzenia na żaglowiec czułem, jak nadzieja wypełnia mi płuca. Już widziałem siebie, jak wykrzykuję rozkazy na pokładzie własnego statku, który przyniesie mi takie bogactwa, że będę mógł wykupić pół Douglas Town.

W ciągu tygodnia zakupiłem żaglowiec i rozpocząłem poszukiwania nabywców dla ostatnich resztek wielkiej fortuny Kewleyów. Ma się rozumieć, moja żona nie była zachwycona. Choć Ealisad jest słodką rozkoszą mego życia, w obliczu ryzyka okazuje się przynależać do kobiet z rodzaju tych czujnych i rozważnych, które nie zainwestują dwupensówki, choćby mogła im przynieść pięćdziesiąt gwinei. Próbowalem ją przekonać, to bez dwóch zdań. Rزتaczałem przed nią wizje

pomysłowych rzeczy, które można zrobić ze statkiem, zwłaszcza jeśli powierzy się go Mańczykom z Peel City. Opowiedziałem o kuzynie Robie, który służył w angielskiej marynarce i ożenił się z Angielką, a teraz łowi sobie węgorze i tym podobne nieopodal Maldon – o dobry rzut kamieniem od samego Londynu – mieszkając w starym domostwie na odludnym skrawku wybrzeża, w miejscu nad wyraz praktycznym, tak że przy ostatniej wizycie sam żartowałem na temat tego, co mogliśmy tam robić. Objąsniałem, jakich zarobków można spodziewać się po jednym rejsie tego szczególnego rodzaju, a ponadto uświadomiłem jej, że jest to tylko wyświadczenie przysługi Anglikom, a więc czyn na swój sposób wysoce szlachetny. Na niewiele to wszystko się zdało. W zamian doczekałem się tylko ponurych spojrzeń i umoralniających cytatów z Pisma.

– Przez ciebie będziemy błąkać się od drzwi do drzwi, żebrząc o pół pensa, albo skończymy w lochu – mówiła. – Zapamiętaj sobie moje słowa.

– Nic się nie martw – odpowiadałem – to będzie łatwe jak spacer po plaży. Tylko poczekaj. Nie miną trzy miesiące, a będziesz co niedzielę jeździć do kościoła pięknym, nowym powozem.

Oczywiście, sprawy nigdy nie przybierają dokładnie takiego obrotu, jakiego byśmy się spodziewali. Samo przygotowanie statku zajęło ponad trzy miesiące. Na początek musiałem sprowadzić go do Peel, gdzie liczyć mogłem na większą dyskrecję. Następnie trzeba było znaleźć całe to dodatkowe drewno do wiadomego celu, a musiało ono pochodzić z jednostki świeżo rozmontowanej i zaledwie odrobinę mniejszej od samej Sincerity. Potem przyszła pora na dopasowanie drewna, a do tego na remont. Należało dobrać załogę, a każdy jeden członek musiał być idealnym kandydatem na swoje miejsce, to znaczy Mańczykiem z Peel City, ponieważ nikt inny nie jest godny zaufania. A na koniec, po statku i ludziach, pozostała kwestia ładunku na pokaz, czyli solonych śledzi, najbardziej mańskiego z towarów. Wszystko to kosztowało, a choć za samą Sincerity zapłaciłem przesłodką cenę, pod koniec zabrakło mi nieco pieniędzy, a nawet musiałem zapożyczyć się u Dana Gawne'a, piwowara z Castletown. Niemniej jednak w końcu maja wszystko było gotowe na klar.

Cóż to było za pożegnanie! Zdawało się, że odprawia nas pól Peel City. Wszyscy stali na kejach i łodziach na śledzie, gapiąc się na nas, a niektórzy machali czapkami, jeśli kto akurat miał nakrycie głowy. Nie da się ukryć, że było na co popatrzeć. Sincerity wyglądała prześlicznie jak bożonarodzeniowe drzewko, z żaglami spod igły, nowiutkim olinowaniem i świeżą warstwą farby, a nawet galion połykiwał jak nowy, wpatrując się w horyzont spod czarnych kędziorów i figlarnie puszczając oko. Sobie również sprawiłem odpowiedni strój i kapelusz, a stojąc tak na pokładzie, czułem się wybornie, niczym najmyślniejszy z żeglarzy. Tak po prawdzie to jedyna chwila, która skwasiała to wszystko, nastąpiła, gdy ujrzałem biskupa Man przeciśkającego się ku nam przez tłum.

– Kapitan Kewley, tak? – spytał. – Jak mi nie mam, płyniecie na południe.

Powinienem tu wyjaśnić, iż biskupem Wyspy Man był Anglik nazwiskiem Chalmers, to jest marudny, stary *scriss*, wiecznie patrzący na cały świat z góry. Byli tacy, co mówili, że obraził się śmiertelnie za to, że nie dostał pod swoje panowanie pięknej, przestronnej katedry w Winchesterze czy Canterbury, a zamiast tego wylądował na zesłaniu w malutkim państewku pełnym metodystów bełkoczących w niezrozumiałym języku. Nie żebym twierdził, że to prawda, ale byli tacy, co tak mówili. Na nabrzeżu była z niego słodycz wcielona, co oczywiście, biorąc pod uwagę, iż zabiegał o przysługę.

– Widzicie, muszę udać się do Port St Mary. Biorąc pod uwagę zły stan dróg, zastanawiałem się, czy nie mógłbym pokonać tej nieznacznej odległości na pokładzie waszego statku.

Nie mogę powiedzieć, bym szczególnie pożądał jego obecności, nawet przez tę godzinę czy dwie, które potrwałaby podróż do Port St Mary, niełatwo jednak odmówić biskupowi. Poza tym, jeśli istniał w całym Peel City choć jeden człowiek niezający sobie sprawy ze szczególnego charakteru naszej Sincerity, był to właśnie on, nie wiązało się to zatem z większym zagrożeniem. A przynajmniej tak się wtedy zdawało. Wspiął się więc na pokład, obleczony w purpurę, ze swoim błazeńskim słomkowym kapeluszem mającym chronić jego światłą, angielską łepetynę przed słońcem.

Niebawem nadszedł czas, by wyjść z portu. Jak mawiają mędracy: „Zwlekaj, kiedy wiatr dogodny, a na koi legniesz głodny”. Wykrzyknąłem rozkaz oddania cumy dziobowej, a dwie łodzie holownicze zaczęły odpływać od nabrzeża, aż naprężyły się liny. Po Sincerity przebiegł jakby dreszcz, a pomiędzy nią a keją ukazał się wąski pas wody. Pamiętam, jak pomyślałem sobie, że choć nie upłynęliśmy jeszcze nawet jarda, to przecież właśnie wyruszyliśmy, po tych długich tygodniach oczekiwania. Później zaś oddałem się rozważaniu tajemnic dalszego obrotu spraw oraz odgadywaniu myśli, jakie będą mi towarzyszyły w dniu powrotu. Ma się rozumieć, nie domyślałem się wtedy nawet ziarnka prawdy o naszej przyszłości. Gdyby mi się to udało, najpewniej skoczyłbym z powrotem na brzeg. Pomachałem do Ealisad – która, wciąż naindyczona, niemal nie odwzajemniła mojego pożegnania – a potem załogi obu łodzi szarpnęły za wiosła, przystań zaś zaczęła powoli zmieniać kształt, aż ścisnęła się za nami do maleńkości, a machający nam jegomoście przestali być jegomościami i stali się tłumem. Później nie było już czasu na patrzenie, wypłynęliśmy bowiem na fale, bujając się milutko. Czekala nas praca. Liny holownicze odwiązano, łodzie wciągnięto na pokład, a chłopcy zaczęli wdrapywać się na reje, żeby zluzować jedną czy drugą linę i złapać wiatr. Wkrótce nawet zarys Peel na dobre zniknął nam z oczu, przyszedł więc czas, by odwrócić głowy i pomyśleć raczej o tym, co przed nami.

Właśnie wtedy biskup Man zaczął okazywać znużenie. Jak sędzę, uznał, że skoro wmanipulował nas w przysługę, może już pozbyć się swojego czaru. Niebawem przechadzał się po pokładzie, ziewając, jakby cierpiał niedostatki okrętowego życia już od wielu miesięcy. Za źródło rozrywki obrał sobie zwierzęta. Nie było ich na pokładzie zbyt wiele – zakładałem, że świeże mięso będzie potrzebne przez tydzień, może dwa, bo *jink* był już na wyciągnięcie ręki, kupiłem więc tylko tuzin kurcząt, jedną owcę oraz świnię – biskupowi jednak to wystarczyło. Stał tak więc w swojej purpurze i błazeńskim słomkowym kapeluszu, cmokając na kury, wciskając paluchy do kojca, a nawet próbując głaskać owcę, której najwyraźniej nie przypadł do gustu. Zapewne uważał się za drugiego świętego Franciszka. Nie było w tym nic złego. To, co złe, przyszło chwilę później.

– Cóż za wspaniała świnia.

To może nic wielkiego dla niewtajemniczonych, ale rzecz była poważna w oczach tych, którzy swoje wiedzieli. Ma się rozumieć, ja sam nie zaprzętałem sobie głowy głupimi przesądami, śmiem jednak twierdzić, że na pokładzie byli tacy, którzy, owszem, zaprzętałem. Ci wyjaśniliby wam ze śmiertelną powagą, iż istnieją pewne słowa, których nie wolno wypowiadać na pokładzie mańskiego statku idącego po morzu, bo spowodzi się nieszczęście aż do końca rejsu. Nie uważam się za eksperta, lecz jak już powiedziałem, są tacy, co upierają się, by nie mówić królik, tylko *pommit*. Podobnie jak na śledzia należy zawsze mówić *child*. Na kota mówi się *scrapper*³, a na mysz – *lonnag*. Wiatr to *Old Bags*. Szczur to *Uncle* albo *Big Fellow*. Słońce to *Ree Yn Laa* – co można tłumaczyć jako „król dnia” – zaś księżyc to *Ben-rein Nyhoie*, co znaczy „królowa nocy”. Syrena to *Blue Judith*. Morze to *Blue John*. A do tego nigdy, przenigdy nie wolno mówić „świnia” – wyłącznie *swiney*.

Oczywiście, czasami zdarzają się potknięcia, ale pecha można odpędzić dość łatwo, jeśli tylko wykona się odpowiednie czynności. Słyszałem, że każdy, kto wypowie się w niewłaściwy sposób, powinien krzyknąć „zimne żelazo” i jak najszybciej dotknąć zimnego żelaza na okręcie. Nie jest to rzecz kłopotliwa i można by ją bez trudności wykonać, choćby po to, by uspokoić tych, którzy żywią te głupie przekonania. Problem w tym, że w naszym przypadku nieszczęśliwe słowo wypowiedział obcokrajowiec, a do tego biskup. Żaden z nas nie odezwał się ani słowem, choć jeden czy drugi posłał mu spojrzenie spode łba, które zresztą duchowny zapewne zauważył. Natychmiast więc zostawił świnie w spokoju i, jak pamiętam, uskarżając się na słońce, zszedł pod pokład, gdzie pozostał aż do chwili, gdy zawinęliśmy do Port St Mary i pozbyliśmy się wreszcie starego *scrissa*.

Nie żebym ja sam się tym zamartwiał, ma się rozumieć, nie miałem czasu na taką błazenadę, śmiem jednak twierdzić, że parę osób na pokładzie gnębił fakt, iż taka rzecz przydarzyła się akurat chwilę

³ Dosłownie „drapacz”, w odróżnieniu od psa zwanego *biter* – „gryzacz”.

po tym, jak Sincerity postawiła żagle w swoim pierwszym rejsie w charakterze mańskiego statku wiadomego przeznaczenia. Biskup Chalmers zasłużył więc sobie na więcej niż kilka wzmianek, gdy zaledwie piętnaście dni później Tom Teare krzyknął z bocianiego gniazda po raz trzeci:

– Kuter bierze kurs na nas! – No cóż, to nie pozostawiło cienia wątpliwości.

Z moich doświadczeń wynika, że jeśli już pech przylgnie do człowieka, to się nie odczepi, a kapitan Clarke z kutra Straży Przybrzeżnej HMS Dolphin był wcieleniem pecha czystego niczym powietrze, którym oddychaliśmy. Podczas gdy jego jednostka nadpływała ku nam, łudziłem się nadzieją, że trafimy na otumanionego, podstarzałego dżentelmena marzącego o emeryturze, jegomością z brzuszkiem i podagrą, ziewającego nad papierkową robotą – ale gdzie tam, nic z tych rzeczy. Kapitan Clarke, który wszedł na pokład Sincerity, należał do tych Anglików z wypolerowanymi guzikami, co to typią z wyżyn swojego munduru, powodowani głodem odkrycia, które prawa świat złamał tym razem. No i proszę, z jego ust nie padło nawet „dzień dobry”, gdy tak stał, rozglądając się wokół, a za jego plecami włąziło na pokład sześciu żołnierzy marynarki, ot, żeby przypadkiem nie doskwierała mu samotność. Zapytał tylko:

– Kapitan...?

– Kewley – przedstawiłem się uprzejmie, wręczając mu dokumenty statku.

– Port rejestracji: Peel City, Wyspa Man – odczytał, posyłając mi krótkie, porozumiewawcze spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Wiem swoje o tym milutkim zakątku”. – W drodze do Maldon w hrabstwie Essex z ładunkiem solonych śledzi. – Zaczął zabawiać się w aktora, kręcąc swoją wypucowaną głową i udając ogromne zdziwienie. – Przyznam, iż jestem nieco zaskoczony waszym wyborem portu docelowego. O ile się nie mylę, Maldon to miasteczko rybackie. Czy jesteście przekonani, że zainteresuje ich ładownia pełna śledzi?

Wzruszyłem ramionami.

– Ryba rybie nierówna.

Oczywiście, to nie ładunek tak naprawdę go interesował. To był dopiero początek.

– Kapitanie, ogromnie frapująca wydaje mi się wasza pozycja. Płyniecie z Peel do Maldon, czyż nie? Dlaczego więc, zastanawiam się, napotykam wasz statek idący północnym kursem od wybrzeży Francji?

Miałem już gotowe wytłumaczenie, a przynajmniej swego rodzaju.

– Wczoraj uderzył w nas nagły szkwał, przez co zesłiśmy z kursu o trzydzieści mil na południe. – Tak się złożyło, że dzień wcześniej pogoda faktycznie była dość wszawa i rzeczywiście dął północny wiatr. Jak mawiają mędrzy: „Wybieraj swoje łgarstwa tak jak żonę – ostrożnie”.

To jednak nic nie dało. Clarke pokazał pazury, co zresztą od początku zamierzał zrobić.

– Kapitanie Kewley, jestem zmuszony zapytać, czy zdarzyło wam się, wbrew waszym dokumentom, zawinąć do obcego portu? Radzę udzielić odpowiedzi z rozwagą, gdyż każda niezgodność z prawdą zostanie wykryta i ściągnie na was grzywny tak wysokie, że pożałujecie, iż w ogóle odbiliście od brzegu.

Mogłem udzielić tylko jednej odpowiedzi, uczyniłem to więc, okazując tyle urażonej godności, ile zdołałem z siebie wykrzesać.

– Nie doszło do tego, z całą pewnością.

– Czy przewozicie na pokładzie jakkolwiek inny towar niż solone śledzie wymienione w dokumentach?

– Ależ skąd.

Wydawał się zadowolony jak ogar, który zwęszył króliki. Natychmiast odwrócił się do swoich odzianych w szkarłat chłopców.

– Statek ma zostać przeszukany, i to porządnie.

No i proszę bardzo. Koniec końców wszystko to nie okazało się aż tak łatwe jak spacer po plaży. Nie żeby już nas dopadł, o nie, przysporzył nam jednak porządnych zmartwień, a ja z bólem serca myślałem o tym, że obcy ludzie będą obłapiać i poszturchiwać moją Sincerity jak pierwszą lepszą ulicznicę. Oczywiście, podjąłem wszystkie możliwe środki, by uniemożliwić im zobaczenie jej w negliżu, co spowodziło się w zasadzie wyłącznie do wyszukiwa-

nia zajęć całej załodze, nie ma bowiem nic bardziej wprawiającego w nerwowość niż beczynność. Ostatnią rzeczą, której potrzebowaliśmy, był jakiś atak jąkania czy ukradkowe spojrzenie w niewłaściwą stronę. Juan Brew, pierwszy oficer, oraz Parrick Kinvig, drugi, wykrzykiwali rozkazy tak wściekle, jakby ich opętało siedem diabłów, tak że chłopcy uwijali się po całym pokładzie, wykonując różne prace, albo wspinali się na reje, by wybierać liny. Chińczyk Clucas, nasz okrętowy olbrzym, stał przy sterze, w pracowni pod pokładem cieśla Chalse Christian piłował zapamiętałe kawał drewna, żaglomistrz Ritchie Moore zszywał płótno aż miło, a steward Mylchreest sprzątał kabiny.

Pozostał jedynie Rob Quayle, nasz kuk, którego wysłano do czyszczenia chlewiku, było to bowiem najbezpieczniejsze zadanie dla niego. Powiniennem tu wyjaśnić, iż Quayle'owie znani byli z tego, że niezwykle z nich były dziwadła, co do jednego. W dzieciństwie Rob Quayle stracił ojca – niektórzy twierdzą, że zabił go atak czystego obłądu – i tak chłopca wychowywała sama matka, która utrzymywała sparszywiąłą chatkę nieopodal szop na solone śledzie, zarabiając po parę pensów na praniu cudzych łachów. Wolałbym nie zgadywać, czy to właśnie dlatego Rob Quayle zdziwaczał, czy też po prostu odziedziczył bzika po innych Quayle'ach, natomiast na pewno był z niego oryginał – z pociągłą twarzą i zmartwionymi oczami, zamknięty w sobie i wciąż wietrzący kalumnie, zresztą nieraz całkiem słusznie. Nic w tym więc nie było zaskakującego, że miał słabość do zwierząt i w ich towarzystwie miękł jak masło. *Swiney*, którą biskup Man raczył nazwać świnia, Quayle obrał sobie na najlepszą przyjaciółkę, a w ciągu dwóch krótkich tygodni od wypłynięcia z Peel zaczęli już zachowywać się jak najbliżsi krewni, tak że rzadko mijała godzina, w której Rob nie poszedłby porozmawiać ze zwierzęciem lub podsunąć mu starannie wybraną resztkę z kambuza. Co do samej świni, to trudno byłoby wyobrazić sobie bardziej zarozumiałego zwierza. Im lepsze dostawała jedzenie, tym bardziej wypełniało ją wysokie mniemanie o sobie, tak że w końcu Quayle zachowywał się jak na wpół obłąkany, próbując wymyślić przysmaki, od których świnia nie odwróci pogardliwie ryja.

– Istnieje tylko jedna rzecz, której *swiney* jeszcze nie posmakowała – głosił krążący po statku żarcik, którego Quayle wprost nie znosił – a jest to pyszna wieprzowa nóżka.

Żaden z nas nie był natomiast w nastroju do żartów, gdy kapitan Clarke rozpuścił żołnierzy, by szperali po naszym statku. Zaczęli od ładowni, co było dość niebezpieczne, ale mogło również przynieść dobry skutek, biorąc pod uwagę, że towar działał na naszą korzyść. Wybrałem ładunek z pewnym rozmysłem, nie ma bowiem zbyt wielu rzeczy paskudniejszych, bardziej oślizgłych i ogólnie śmierdzących niż pięćdziesiąt beczek solonych śledzi. Kapitan Clarke robił wszystko, co było w jego mocy, ustawiając się możliwie najdalej, kiedy żołnierze otwierali beczki, prawda jest jednak taka, że przed odorem tak potężnej ilości ryb nie sposób uciec. Gdy żołdacy zaczęli opróżniać beczki nad płachtami płótna żaglowego, w powietrzu zawisł smród jak się patrzy, a drobinki tłuszczu, skóry i ości wystrzelały to w tę, to w tamtą stronę, pokonując zaskakująco duże odległości, tak że obryzgały żołnierzy, a nawet dosięgły wypucowanych butów i nieskazitelnego munduru kapitana Clarke'a. Nie był zadowolony, bez dwóch zdań, nie powstrzymało go to jednak, na nasze nieszczęście. Nawet gdy jego chłopcy rozprawili się już z dwoma tuzinami beczek, a z ładowni zaczęło cuchnąć gorzej niż z psiego pyska – i nadal nie udało im się znaleźć ani ochłapu czegoś podejrzanego – kapitan wciąż zachowywał zapał.

– Wystarczy, sierżancie – zakrzyknął, jakby bawił się wprost przepysznie. – Bierzmy się za resztę statku.

Nie było nam do śmiechu. I tak włączyli się po Sincerity, macając i opukując, a ja szedłem za nimi, mając na nich baczenie. Na początek kubryk, gdzie żołnierze przejrzeni kufry załogantów i podźgali paluchami hamaki oraz rozwieszono ubrania. Potem pracownia, w której cieśla Chalse Christian i żaglomistrz Ritchie Moore siedzieli ponurzy ze swoimi kawałkami drewna i płachtami płótna. Dopiero wizyta w spiżarni napędziła mi porządnego stracha. Clarke zajrzał sobie do środka – nie widzę w tym nic złego – lecz później, zamiast po prostu zadowolić się widokiem biskwitów, wołowiny i tym podobnych, musiał wejść, położyć dłonie na szczycie drzwi

i lekko się ku nim podciągnąć. Przez chwilę obawiałem się, iż może przypadkowo trącić palcem zwisający tam wiadomy kawałek sznura. Dopiero gdy odepchnął się od drzwi, śmielej nabrałem powietrza w płuca. Następnie dotarliśmy do mesy oficerskiej. To mógł być albo nasz koniec, albo ostateczne zwycięstwo. Widzicie, poświęciłem temu zakątkowi sporo uwagi, zakładając, że nic lepiej nie ochroni cnoty damy przed sparszywiałymi natrętami niż odpowiednia warstwa wytworzonego przyrodziewku. Co więcej, mój sposób zadziałał, i to o niebo skuteczniej niż solone śledzie. Gdy tylko kapitan Clarke wszedł do środka, spostrzegłem, że jego twarz nieco łagodnieje.

– Cóż za zbiory.

Popłynąłem z wiatrem: – Można by to nazwać moim hobby, jak sądzę. Zawsze należałem do ich admiratorów.

Zaczął chodzić po kabinie, przyglądając się im po kolei.

– Albert nadzwyczaj udany. Gdzie je pan znalazł?

– W Peel City. Na wyspie cieszą się ogromnym zainteresowaniem. – Nie mogę powiedzieć, żeby była to do końca prawda. Tak właściwie to na wyspie nikt nie zwracał sobie nimi głowy, nie licząc Anglików bawiących przejazdem, musiałem więc sprowadzić te obrazki aż z Liverpoolu. Oceniałem to jednak w taki sposób, że jeśli mam robić za patriotę, to dlaczego nie miałyby mi towarzyszyć cała Wyspa Man? – Moja ulubiona to Wiktorja. Oto zaiste królewskie oblicze, nieprawdaż?

– Sposób, w jaki opiera się o lwa, jest nad wyraz naturalny. – Po raz pierwszy od chwili, gdy wszedł na pokład, usłyszałem w jego głosie odrobinę uprzejmości, jakbym może jednak zasługiwał na to, by traktować mnie jak pełnoprawną istotę ludzką, a nie przestępcę, którego winy jeszcze nie dowiedziono. – Nieczęsto widuje się również tyle dzieci przedstawionych jednocześnie.

Tak się złożyło, że zadałem sobie nieco trudu i nauczyłem się ich imion na pamięć.

– Wiktorja, Albert Edward, Alfred, Alicja, Helena, Ludwika, Artur i mały Leopold – wyrecytowałem. – Oczywiście wyczekuję na Beatrycze, sądzę jednak, że musi podrosnąć jeszcze parę miesięcy, zanim zobaczmy jej podobiznę.

– Te dwa popiersia są niezwykle zgrabne. – Przyjrzał się Wiktorii przymocowanej na szczycie wysokiego, pustego cokołu pod ścianą. Na szczęście nie patrzył zbyt długo. Wyobraźcie sobie tylko, wyglądał już tak, jakby ogarnęły go wątpliwości, a wręcz lekkie poczucie winy. Podejrzewam, że po prostu nie mieściło mu się w głowie, aby człowiek znający imiona wszystkich dziewięciu królewskich dzieci mógł choćby pomyśleć o tym, by oszukać lojalnych celników królowej Wiktorii. To oznaczało koniec jego zainteresowania poszukiwaniami, bez dwóch zdań. Kazał jeszcze żołnierzom rozejrzeć się po mesie, lecz gdy sierżant próbował zajrzeć za portret Alberta, Clarke porządnie się naindyczył.

– Sądzę, że już wystarczy – zganiał go ostro, jakby przeszukiwanie statku od początku było pomysłem tamtego biedaka, i to pomysłem najzupętniej psiaczym. – Możecie już wrócić do szalupy.

Cóż, oto nastąpiła słodka chwila, w której mogliśmy się rozsmakować. Jeśli pochodzicie z jednego z maleńkich państw tego świata, jak na przykład Wyspa Man, nie możecie liczyć na zbyt wiele zwycięstw nad obcokrajowcami – kolejnych Waterloo, Bannockburnów i tym podobnych – ten moment zdawał się jednak na swój sposób do nich zbliżony. Proszę bardzo, oto przeżyliśmy najazd i okupację, zajęliśmy klęsce prosto w nos, a teraz nasi wrogowie zarządzili odwrót i uciekali tam, skąd przyszli. Gdy wróciliśmy na pokład i stanęliśmy przy chlewiku, patrząc, jak żołnierze marynarki przechodzą przez burtę, Clarke zaczął mnie niemal przeproszać.

– Kapitanie, mam nadzieję, że wasze ryby się nie zepsują.

Robiłem, co w mojej mocy, by nie wyglądać na zbyt zadowolonego.

– Och, jestem przekonany, że nic wielkiego im się nie stało.

– Cóż, zatem muszę podziękować panu za współpracę. Mam nadzieję, że nie naraziłem pana na zbyt wiele niedogodności. – Powiedziawszy to, podszedł do drabiny, by dołączyć do żołnierzy czekających w szalupie przy burcie.

Tak blisko już byliśmy, naprawdę, tak blisko. No dalej, kapitanie Clarke, zabieraj się z mojego statku razem ze swoim ważniackim, uwalanym rybami mundurem i nie wracaj już więcej. Przepadnij, żebyśmy mogli oszczędzić sobie wszystkich tych kłopotów, podróży,

ukrywania się po piwnicach i jeszcze gorszych – dużo gorszych – rzeczy. Och, sama myśl o takiej uldze sprawia, że drzę z tęsknoty. Ale gdzie tam: oto jest już za burtą, tak nisko, że zostały z niego same ramiona i głowa, a jednak musi posłać mi to ostatnie spojrzenie, rozumiecie, z czystej uprzejmości – jakby zależało mi na uśmiechu takiego bufona – i już po wszystkim. Nagle zdałem sobie sprawę, że patrzy nieco za długo. Jego twarz się wykrzywiła, oczy wypełniły się zdumieniem i zaczęły przypominać dwa paciorki. To nie był dobry znak. Gdy po chwili podciągnął się z powrotem na pokład, wiedziałem, że mamy kłopoty.

– Co tam trzymasz?

To nie mnie pytał, lecz Quayle’a, naszego kuka, a ten wyglądał tak, jakby głowę właśnie popieściła mu błyskawica.

– To tylko ser – wybełkotał – zje go nasza *swiney*.

Clarke wydobyl ser z jego dłoni – a był to potężny kawał o kształcie nad wyraz egzotycznym – i zaciągnął się głęboko.

– A skąd może pochodzić ów ser?

Szybko zgadłem, co się święci. W wiadomym dyskretnym porcie, który odwiedziliśmy, zaraz przy kei znajdował się szereg sklepików. Quayle musiał niepostrzeżenie wymknąć się na ląd. Zdając sobie sprawę, że ten przygłupi *fritlag* wyduka zaraz coś, co wpędzi nas w jeszcze gorsze tarapaty, posłałem mu spojrzenie, które miało go uciszyć.

– Z Peel, prawda? – spytałem.

– A więc to ser z Wyspy Man, tak? – Gdy Clarke odwrócił kawał sera, cała jego twarz niemal zbieła. Podetknął mi go pod nos. – Rozumiem, że to po waszemu?

Dalibyście wiarę, na spodzie przykleił się spory kawałek francuskiej gazety, w którą ser musiał być zawinięty. Wiedziałem, że z Quayle’a był skretyniały *dawd*, a jednak trudno było mi uwierzyć, iż może być aż tak głupi. A wszystko to zrobił dla *swiney*, tej niewydarzonej góry wieprzowiny.

Clarke łypnął szybko na gazetę.

– Data sprzed zaledwie czterech dni. – Jedyne z najwyższym wysiłkiem rozpoznalibyście w nim człowieka, którym był jeszcze

chwilę temu. Przepadła gdzieś cała jego wypucowana wesołość. Głos stał się dychawiczny, a twarz ściągnęła się furią. Z przykrością przyznając, iż zapewne nie byłby nawet w połowie tak wściekły, gdybym jeszcze chwilę temu nie mamił go tak cudnie portretami królowej Wiktorii i jej potomstwa. Został wystrychnięty na dudka i doskonale zdawał sobie z tego sprawę, a nie ma nic, czego nasi umundurowani Anglicy bardziej by nienawidzili, niż wyjścia na durniów przed cudzoziemcami.

Musiałem coś powiedzieć.

– A co z tą łodzią rybacką, na którą się natknęliśmy? Pewno kupiłeś ten ser od nich, co, Quayle?

Quayle bez zapału skinął głową. Przytaknąłby, nawet gdybym powiedział, że kupił ser od przepływającego rekina. Nie miało to teraz najmniejszego znaczenia, bo Clarke nie uwierzyłby już w ani jedno moje słowo, choćby było ono szczere po siedmiokroć. A poza tym nabywanie nieoclonych towarów od załogi obcego statku było niemal takim samym wykroczeniem jak kupowanie ich w obcym porcie.

– Uważam – zaczął tonem lodowatym jak szron – iż najwyższy czas, abyście udali się do Londynu, gdzie odbędziecie pogawędkę z dżentelmenami ze Służby Celnej Jej Królewskiej Mości. – Wychylił się za burtę, by wezwać żołnierzy z szalupy. – Dolphin was odprowdzi – dodał głosem ociekającym sarkazmem – dla pewności, że się nie zgubicie.

I tak popłynęliśmy, potulni jak owieczki, z kutrem Straży Przybrzeżnej zaraz za rufą oraz sześcioma żołnierzami marynarki wyciągniętymi na pokładzie, pykającymi fajeczki i wymyślającymi sobie w najlepsze żarciki o Mańczykach i serze. Nic nie można było na to poradzić, poza tym, że nakazałem Quayle'owi przygotować nam obfitą kolację, na której głównym daniem miała być porcja świeżo upieczonej w i e p r z o w i n y. Oczywiście, znaleźli się na pokładzie tacy, co zauważyli przedziwny fakt, iż stworzenie, które wpędziło nas w tak wielki kłopot, było dokładnie tym samym, które biskup Man nazwał świnią. Ja akurat nie zamartwiałem się takimi głupstwami, niemniej jednak byłem odrobinę zaintrygowany zbiegiem okoliczności.

Przed zmrokiem ląd było już widać jak na dłoni. Bez dwóch zdań, mieliśmy za sobą długi dzień. Gdy tak patrzyliśmy na angielskie brzegi, nic już nie zostało z naszych marzeń o *jinku*, rumie i kobietach na wynajem. Moje myśli krążyły wokół rewizji i przesłuchań, grzywien i konfiskat – wokół bankructwa. Kto wie, może nawet odsiadki w lochu.

Ma się rozumieć, że to, co nas w rzeczywistości czekało, nie mogło być chyba bardziej odmienne od naszych wyobrażeń.



Wiatr od morza to...

*zapach kanadyjskich lasów
gwar angielskich portów
piaski Afryki
ostra woń chłodnego, arktycznego powietrza
okrzyki rybaków zarzucających sieci
smak soli w ustach*



...gdańskie wydawnictwo założone przez Michała Alenowicza,
miłośnika książek i tłumacza literatury anglojęzycznej.

Wyszukujemy dla Państwa wyjątkowe i wręcz magiczne książki – prawdziwe rarytasy światowej literatury. Nieraz są to zapomniane i nigdy nie tłumaczone na język polski dzieła, nagradzane przed laty prestiżowymi nagrodami, innym razem niezwykle powieści wciąż nieodkrytych w Polsce pisarzy młodego pokolenia. Lubimy wyobrażać sobie, że sprowadzając je do Polski stajemy się niczym dawni gdańscy kupcy, zaopatrujący niegdyś kraj w egzotyczne przyprawy i drogie tkaniny. Niech i dziś z prastarego nadbałtyckiego portu płynie to, co dodaje życiu smaku – wyjątkowa, poruszająca wyobraźnię literatura na najwyższym poziomie.



fot. Magdalena Alenowicz

www.wiatrodmorza.com